

Nie hodujemy narcyzów

Na podstawie rozmowy z Hanną Świdą-Ziembą opracowały Hanna Bartoszewicz i Justyna Dąbrowska (Tekst Ukazał się w Październikowym numerze miesięcznika "Dziecko")
31.10.2002 ,

Dzisiejsze matki i ojcowie nie oczekują od dziecka wrażliwości, tylko wysokiego miejsca w rankingach. To jest koń wystawiony do wyścigu, odpowiednio karmiony i pielęgnowany. Jeśli mu potem coś nie wychodzi, na przykład dostanie pałę, to cierpi, bo czuje, że sprawiło rodzicom ogromny zawód.

Martwi mnie pewna moda, którą widzę u młodych rodziców przejętych wychowaniem dzieci. Dzisiaj wychowuje się dzieci tak, jakby to była hodowla egzotycznego kwiatu, któremu trzeba stworzyć jakieś specjalne warunki. Jeszcze niedawno traktowało się dziecko po prostu - jak element rzeczywistości, domu rodzinnego. A stosunki rodziców z dziećmi układały się w sposób naturalny.

Kto tu jest ważny

Weźmy karmienie piersią. Nie mam nic przeciwko karmieniu piersią, ale dlaczego to się tak celebruje? Ile wokół tej sprawy zamieszania! Nie widzę powodu do hysterii, jeśli matce zabraknie pokarmu. To się zdarza, zawsze się zdarzało i nie róbmy z tego dramatu. Teraz matka uważa, że musi karmić piersią, najlepiej dwa lata, bo jak nie, to co z niej za matka... A później musi koniecznie kupić dziecku taką a nie inną zabawkę, bo eksperci powiedzieli, że to właśnie jest najlepsza zabawka edukacyjna. A ona przecież powinna dziecko edukować, bo to należy do roli matki opisanej w podręcznikach. I w końcu ta rola zaczyna przesłaniać dziecko. Zamiast dziecka, żywej ludzkiej istoty, która wzrasta w rodzinie, mamy obiekt starannie przemyślanych zabiegów wychowawczych.

Jest teraz, na przykład, taka akcja, żeby dziecku codziennie czytać dziesięć-piętnaście minut. No więc się czyta, a kiedy te dziesięć minut mija, to się książkę odkłada - zadanie odrobione. Kiedyś czytanie dziecku było czymś oczywistym i naturalnym. Nie była to żadna akcja, żadna rodzicielska misja, tylko naturalny element życia domowego. A teraz to się celebruje, robi się z tego instytucję.

To wszystko jest w moim mniemaniu sztuczne, wykoncypowane, odczłowieczone. Rodzice nie tyle są rodzicami, co raczej odgrywają role rodziców - według jakichś poradników, według tego, co mówi się w telewizji. I przykładają do swych ról ogromną wagę. A dziecko? Gdzie w tym wszystkim jest dziecko? Nie widzę.

Czas i pieniądz

Żyjemy w czasach cywilizacji konsumpcyjnej. Żeby ta cywilizacja się rozwijała, ludzie muszą kupować różne towary i usługi. Im więcej kupują, tym szybciej wszystko się kręci. Więc rodzicom wmawia się, że muszą mieć to i to, i tamto. Nowy rodzaj pieluszek, bo tylko te zapewnią dziecku komfort, nowe zabawki, bo tylko one pobudzą jego rozwój intelektualny. I zajęcia prowadzone tą akurat metodą, która właśnie jest modna. Wszystko ma być nowoczesne.

I w końcu rodzice zaczynają w to wierzyć. Co gorsza, sami sprzedający też zaczynają w to wierzyć. Wszyscy nabieramy fałszywego przekonania, że jeśli nasze dzieci będą miały "wszystko nowe i w najlepszym gatunku", to będzie im się lepiej żyło, będą szczęśliwsze. Wydaje nam się, że w ten sposób o nie dbamy.

Ale myślę, że jest i inna przyczyna tej pogoni za nowoczesnością. Dorośli są dziś strasznie zagonieni i poświęcają dzieciom mało czasu. Więc to kupowanie, obstawianie dziecka przedmiotami, zapewnianie mu różnorodnych zajęć jest trochę zadośćuczynieniem za brak prawdziwego bliskiego kontaktu. A jak już przychodzi ta godzina, którą rodzice mają dla

dziecka, to starają się ją jak najlepiej - w swoim mniemaniu - wykorzystać, zaczynają "zajmować się dzieckiem", zamiast z nim po prostu być.

Po pierwsze, bezpieczeństwo

Dziecko nie jest rzadkim okazem botanicznym, tylko istotą tego samego gatunku co my. Jest niezaradne, ale z naszą pomocą będzie się stopniowo usamodzielniało. To zadanie na długie lata i przez te lata musimy mu dać coś jeszcze - poczucie bezpieczeństwa. A nie zrobimy tego, trzęsąc się nad dzieckiem, tylko dbając o ład i harmonię życia rodzinnego. Począwszy od rozkładu dnia. Stały rytm posiłków i snu stwarza dziecku grunt pod nogami. Moje pokolenie wzrastało w latach wojny, ale nasi rodzice nawet w tych strasznych warunkach umieli sprawić, że czuliśmy się bezpiecznie. Robili to instynktownie. Dzisiejsi rodzice chcą wyposażyć dziecko w różne przydatne umiejętności, ale nie dbają o klimat domu, narzekają przy dziecku, nie troszczą się o jego samopoczucie psychiczne, zarażają je swoim niepokojem. A powinni mu przecież dać przykład, że nie należy psuć innym humoru, żeby i ono czuło się odpowiedzialne za dobry nastrój w domu. Wolałabym, żeby rodzice byli wobec dziecka bardziej naturalni. Poradniki powinny służyć rozumieniu dziecka. Dobrze, jeśli przestrzegają przed pewnym postępowaniem (np. przed niekonsekwencją w wychowaniu), ale nie powinny dawać gotowych recept ani szermować słowami "zawsze" (postępuj tak a tak), "nigdy" (nie rób tego i tego). Nawet ta osławiona konsekwencja nie jest nakazem bezwzględny, absolutnie i bez wyjątku słusznym. Rodzice czasem powinni być stanowczy, czasem wyrozumiali, np. kiedy widzą, że dziecko naprawdę cierpi, bo zginął mu ukochany miś. Albo gdy bardzo chce czegoś, co nie jest złe samo w sobie, tylko oni z rozpędu powiedzieli "nie" i teraz boją się, że cofając zakaz, okażą słabość. Ale jeżeli zmieniają swoje nastawienie, jeśli zauważą, że tu, obok, jest człowiek i chodzi o to, żeby temu człowiekowi było dobrze (nie tylko teraz, ale i później w życiu) - natchnienie przyjdzie samo.

Nie ma też dramatu, jeśli się wobec dziecka popełni jakiś błąd. Cóż, takie jest życie: choć kocha się dziecko, czasem popełnia się błędy, nie zawsze wszystko się udaje.

A gdy dziecku się coś nie uda? W takich chwilach rodzice powinni być dla niego oparciem.

To nie znaczy, że mają usuwać mu z drogi wszelkie przeszkody. Porażki są częścią życia, podobnie jak cierpienie, i dziecko musi się z nimi oswoić.

Niepotrzebny wyścig

Specjaliści, podręczniki, telewizja przedstawiają rodzicielstwo jako jakieś niebotycznie trudne zadanie. A przecież my mamy tylko wprowadzić dziecko w świat, usamodzielnic je i uspołecnić. Kochać je i być serdecznym. I to wszystko. Nie traktujmy wychowania jako jeszcze jednej okazji, by się sprawdzić, spełnić, osiągnąć więcej niż inni. Jako ogniwa w łańcuchu sukcesów: mam ładne mieszkanie, dobrą posadę i starannie wychowuję dziecko. Dzisiejsze matki i ojcowie nie oczekują od dziecka wrażliwości, tylko wysokiego miejsca w rankingach. To jest koń wystawiony do wyścigu, odpowiednio karmiony i pielęgnowany. Jeśli mu potem coś nie wychodzi, na przykład dostanie pałę, to cierpi, bo czuje, że sprawiło rodzicom ogromny zawód.

Takie hodowlano-kształceniowe nastawienie rodziców sprawia, że dziecko od małego czuje się kimś bardzo ważnym, ważniejszym niż inni. A przecież to nieprawda. Ono jest tak samo ważne jak każdy członek rodziny, jak mama i tata; musi się czuć częścią rodzinnej wspólnoty i dostosowywać do panujących zwyczajów. I dawniej tak właśnie było. Nie stwarzano dziecku sztucznego środowiska wychowawczego, pozwalało mu się brać udział w normalnym życiu rodziny, posyłało do przedszkola, a kiedy trochę podrosło, puszczało na podwórko. A dziecko musiało sobie jakoś radzić. I tak niepostrzeżenie wrastało w świat. Życie stwarza mnóstwo okazji do uwrażliwienia dziecka na innych, choćby wtedy, gdy dochodzi do konfliktów w zabawie. Łagodząc spór o misia, rodzice mogą pokazać, co czuje drugi człowiek.

Uwrażliwienie na innych, także na matkę i ojca, podnosi dziecko we własnych oczach. Spójrzmy na małe dziecko, jak się cieszy, że zrobiło coś dla innych, że może przynieść ojcu pantofle albo nakryć do stołu. Jeśli mu pozwalamy na takie odruchy pomocy, jeśli je do nich zachęcamy, to raz, że je uspołeczniamy, a dwa - że dajemy mu odczuć radość i dumę: "Urosłem! Już mogę pomóc!".

Ciężko być egoistą

Czyniąc z dziecka przedmiot nadmiernej troski, wyrabiamy w nim przekonanie, że jest kimś wyjątkowym, a jeśli stawiamy mu jakieś ograniczenia, to nie ze względu na innych, lecz na jego własne dobro. Nic dziwnego, że później dąży do zaspokojenia swoich potrzeb, nie oglądając się na innych. Nawet nie zauważa, że sprawia komuś przykrość, że narusza cudzy interes.

I tak naturalną kolejną rzeczą wyrasta na egoistę - bo wszystko kręciło się wokół jego osoby. Owszem, nauczono je zaradności, ale tylko w stosunku do siebie. Więc nie troszczy się o ten świat, nie wie, że ludziom też coś się od niego należy. W ten sposób odbieramy mu coś bardzo cennego - radość dawania.

To nieprawda, że dobrze żyje się tym, którzy dbają jedynie o siebie. Tak wychowane dzieci nie mają poczucia, że jesteśmy sprzęgnięci więzami, że stanowimy ludzką wspólnotę. I przez to są nieszczęśliwe.

Hanna Świda-Ziomba socjolog, profesor UW. Wydała m.in. książki: "Człowiek wewnętrznie zniewolony", "Wartości egzystencjalne młodzieży lat 90.", "Młodzież końca tysiąclecia. Obraz świata i bycia w świecie". W latach 1991-93 była sędzią Trybunału Stanu. W numerze 168. "Wysokich Obcasów" drukowaliśmy rozmowę, którą z Hanną Świdą-Ziembą przeprowadził Piotr Legutko ("Bez buntu, bez marzeń" z książki "O dorastaniu, czyli kod buntu").